

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

10

(Ciąg dalszy).

Nie było odpowiedzi.

— A tak bliską była już poznanie prawdy! Ten twój przeklęty Juliusz mógł być równie dobrze nazywać mnie po nazwisku, zamiast mówić o mnie „ta stara“, a Herminia Caze byłaby to powtórzyła. Ach, jak ja cierpiałam!... Nie, zrozumieć, byłabym umarła ze wstydu... Ja, zdradzać ją!... Ach, gdybyś ją znał, to moje biedne, kochane dziecko...

Rozrzewniała się teraz, słaba, zgnębiona i składając ręce przed Serninem, mówiła:

— Proszę cię, nie mieszaj też nas we wszystkie te twoje sprawy... Takie byłyśmy szczęśliwe! Myślałam, że już o nas zapomnieliś i dziękowałam Bogu za każdy dzień upłynięty. Ależ tak, ja ciebie zawsze bardzo kocham, pomimo wszystko... Ale widzisz, Genowefa... nie wiem, czego bym ja nie zrobiła dla tego dziecka! Ona w moim sercu zajęła twoje miejsce!

— W takim razie, Wiktorio...

— Nie nazywaj mnie tak! — zawołała, zadrżawszy — Wiktorja nie żyje... stara twoja służąca już nie istnieje. Teraz ja należę do Genowefy.

— W takim razie, pani Ernemont — dlaczego usłuchałaś mnie jeszcze przedwczoraj, gdy przed tobą rozwijał plan porwania, a potem ratunku i tłómaczył ci, jaką masz rolę odegrać wobec Varnier'a, Hipolita i Juliusza?

— Ejże! Wiesz przecież, że uległam jedynie zniewolona przez ciebie.

— Ale uległaś i uprzedziłaś Varnier'a, że Genowefa o pięć minut przed szóstą będzie nad stawem, ona i pani Kesselbach. Dlaczegoż to zrobiła?

Staruszka spuściła głowę i twarz ukryła w dłoniach.

— Ach tak, dlaczegoż ja to zrobiłam? Dlaczego zawsze robiłam to, czego ty odemnie chciałaś? Wszystkie te brzydactwa, wszystkie niegodne rzeczy, których odemnie żądałaś? Brzydzę się tem, a pomimo to spełniam... nierozsądna... dlatego po prostu, że to ty jesteś, a że ja jestem stworzona, ja się urodziłam poto jedynie, by tobie być powolną...

Pochylił się nad nią i ucałował ją.

— Moja ty pocziwa staruszkol!

— Tak, teraz pieczyoty... cukierki!... Ach! biedna matka twoja mówiła mi to niegdyś jeszcze, wtedy, gdy cię karmiła: „Tego bęna ty za nadto kochasz. Teraz dajesz mu swój pokarm, a później on krwi twojej żąda, a ty mu ją dasz...“

— Czy prawdę mówiła, Wiktosiu?

Westchnęła smutno.

— Ach, mój maleńki, ja ci dałam więcej jeszcze! Ja ci moje sumienie oddałam!

Zamilkli oboje; po chwili ona zadała pytanie.

— A więc ty rozpoczynasz dawne twoje życie?

— Jak widzisz.

— A jednak przysięgałaś mi, że z tem już koniec, że chcesz być odtąd uczciwym człowiekiem...

— Próbowałam. Od lat czterech próbuję... Nie powiesz przecież, że przez te cztery lata słyszałaś co złego o mnie?

— No więc?

— Ale mnie to nudzi.

Westchnęła, usłyszawszy taką odpowiedź.

— Wmieszaleś się w sprawę Kesselbacha?

— Gdyby nie, czyżbym sobie był zadał trud porwania pani Kesselbach o szóstą, po to jedynie, by o szóstą minut dwadzieścia przed wyrwać ją ze szpon moich ludzi? Uratowana przezemnie, musi mnie teraz przyjmować. Byłam u niej przed chwilą. Jestem w samym centrum obozu i osłaniając wdowę, mam nadzór nad otoczeniem. Ach, cóż chcesz! to życie, które prowadzę, nie pozwala mi na spokój i na wygodki — muszę działać za pomocą efektów teatralnych i brutalnych zwycięstw...

— Jezus Maryja! — westchnęła. Ostatecznie co do tego, różnie sobie, co ci się podoba. Ale Genowefa...

— Widzisz — ja w ten sposób ubiłem dwie sarny za jednym zamachem. Pomyśl, ile jabym potrzebował czasu, wysiłków, może daremnych, by wślizgnąć się w zaufanie tego dziewczątka! Czem ja byłam dla niej? Nieznajomym... obcym człowiekiem. Teraz jestem zbawcą. Za jaką godzinę stanę się jej przyjacielem.

Potrząsnęła głową.

— Czy ty myślisz, że potrzeba tylu przygoto-

wań i tylu wybiegów, ażeby stać się jej przyjacielem? Gdybyś ją znał, zawstydzilibyś się tego, coś zrobił. Porywanie! Ratowanie! Takie zawile sztuki dla pozyskania serca, które się tak chętnie daje!

— Czy tak pewna tego jesteś?

— Jestem pewna, że wystarczyło przyjść do niej otwarcie i powiedzieć jej poprostu to, co jej masz do powiedzenia.

— To, co jej mam do powiedzenia, wymaga więcej ostrożności. To tajemnica bardzo ważna i bardzo wzruszająca.

— Której ja nie znam?

— Której ty nie znasz...

Staruszka przestraszyła się.

— A która ją może zmartwi? Ach, ja się lekam wszystkiego... wszystkiego się dla niej lekam!...

— Otóż i ona! — rzekł.

— Nie, to za wcześnie.

— A jednak... słyhać jakiś ruch... Zdawałoby się, że to w ogrodzie...

— To niepodobna! Któżby mógł chodzić po ogrodzie o tej godzinie? Nie, to zapewne drzwi od sypialni zamknięto. Genowefa przyjdzie za chwilę.

— No, to obetrzyjżę oczy i bądź rozsądna?

— Słuchaj — przemówiła żywo — słuchaj... ja nie wiem, jakimi słowy przemówisz, jaką tajemnicę chcesz odsłonić temu dziewczęciu, którego nie znasz... ale ja ją znam dobrze, i tyle ci powiem: Genowefa jest to natura dzielna, silna, ale bardzo uczuciowa i wrażliwa. Uważaj więc, co mówisz... mógłbyś w niej obrazić uczucia... których nie potrafisz odgadnąć...

— Ale dlaczegoż, mój Boże!

— Ponieważ jest ona z innej rasy, niż ty jesteś i z innego świata... rozumiem przez to inny świat moralny... Są rzeczy, których tobie nie wolno teraz rozumieć. Pomiedzy tobą a nią jest nieprzebyta przeszkoda. Genowefa ma sumienie najczystsze i najdrażliwsze. A ty...

— A ja...

— A ty — ty nie jesteś uczciwym człowiekiem.

Genowefa weszła ożywiona, uroczą.

— Wszystkie moje małe już są w sypialni; mam dziesięć minut odpoczynku. A! dobry wieczór — zwróciła się do księcia, którego dopiero spostrzegła — cieszę się, że pana widzę. Ale cóż to, babuniu, co się tobie stało? Wyglądasz taka wzruszona! Czy to z powodu historii z tym nieśczęsnym listem?

— Nie, pani — odpowiedział Sernin — zdaje mi się, że mi się udało uspokoić babkę pani. Ale rozmawialiśmy o pani, o jej dzieciństwie, a to jest przedmiot, zdaje się, którego babka pani nie dotyka bez wzruszenia.

— O mojem dzieciństwie? — Genowefa zarumieniła się. — O, babuniu!

— Niech pani się na nią nie gniewa, to przypadek rozmowę naszą sprowadził na te tory. Ja bowiem, jak się pokazuje, nieraz bywałam w tej małej wiosce, w której się pani chowała.

— W Aspremont?

— Tak, w Aspremont pod Nizzą. Pani mieszkała tam w nowym, białym domku.

— Tak — potwierdziła — w takim bielutkim, z niebieskimi obwódkami dokoła okien... Bardzo mała byłam wtedy, gdyż miałam siedm lat, gdy opuściłam Aspremont. Ale przypominam sobie z owych czasów najdrobniejsze rzeczy. Nie zapominałam ani blasku słońca na białej fasadzie domku, ani cienia eukaliptusów w głębi ogródka.

— Na końcu ogrodu pani był tam gaik drzew oliwnych, a pod jednym z tych drzew stał stół, przy którym matka pani w dni upalne siadywała z robotą...

— To prawda... prawda... — wzruszona bardzo, podjęła. — A ja... ja bawiłam się tuż obok...

— I tam to — rzekł — widywałam matkę pani niekiedy... Odrazu, ujrawszy panią, odnalazłam jej wizerunek... tylko weselszy... szczęśliwszy...

— Istotnie, biedna moja matka nie była szczęśliwą. Ojciec mój umarł w sam dzień mego urodzenia, a jej nic już pocieszyć nie mogło. Często płakała. Zachowywałam w tamtych czasach chusteczkę, którą jej lzy ocierałam.

— Małą chusteczkę w różowy deseń.

— Jakto? — zdziwiła się bardzo. — A skąd pan to wie?

— Byłam raz przy tem, jak ją pani pocieszała... a pani ją tak miłuchno pocieszała, że ta scena została mi żywo w pamięci.

Przypatrzyła rui się głębokiem spojrzeniem i szepnęła prawie do samej siebie:

— Tak... tak... istotnie zdaje mi się... wyraz pańskich oczu... i dźwięk głosu także...

Przymknęła na chwilę powieki i skupiła się w sobie, jak gdyby napróżno usiłowała przywołać wspomnienie, które jej się wymykało.

— Więc pan ją znał? — zagadnęła znowu.

— Miałem przyjaciół w sąsiedztwie Aspremont i u tych ją spotykałem. Za ostatniem widzeniem wydała mi się smutniejszą jeszcze... i jeszcze bledszą. A gdy powróciłem...

— Już było po wszystkim, prawda?... Tak, ona tak prędko zagasła... w kilka tygodni, a ja zostałam na opiece sąsiadów, którzy ją pielęgowali... i pewnego ranka wyniesiono ją... Wieczorem tego samego dnia, gdy ja już spałam w moim dzieciń-  
nem łóżeczku, przyszedł ktoś i wziął mnie na ręce i otulił mnie kołdrą...

— Mężczyzna jaki? — zapytał księżę.

— Tak, mężczyzna. Mówił do mnie cichutko i bardzo łagodnie... miły był jego głos. Wynosząc mnie na ulicę i potem w powozie, kołysał mnie na rękach i opowiadał mi historyjki... tym swoim głosem... tym swoim głosem...

Przerywała potrosze i znowu wpatrywała się w niego jeszcze przenikliwiej, z widocznym wysiłkiem uchwycenia przelotnego wrażenia, któremu podlegała chwilami.

— I co potem? — zapytał księżę. Dokąd on panią zawiózł?

— Tu pamięć moja nie dopisuje... mam wrażenie, jak gdybym była spała przez kilka dni... Widzę się dopiero w tej małej osadzie w Wandei, gdzie przepędziłam drugą połowę mego dzieciństwa, w Montégut... u małżeństwa Izeran; pocziwi to byli ludziska, którzy mnie karmili, wychowywali i których przywiązania i dobroci nie zapomnę nigdy.

— Czy i oni także poumierali?

— Tak — epidemia tyfusu panowała w okolicy... ale ja się o tem później dopiero dowiedziałam. Zaraz w początku choroby znowu ktoś mnie wyniósł nocą, tak, jak pierwaj i także — pamiętam — nakrywał mnie i otulał. Tylko, że wtedy dużą dziewczynką już byłam... broniłam się, wyrzynałam, chciałam krzyczeć... tak, że mi zatkał usta fularową chustką.

— Ile lat miała pani?

— Czternaście... to było cztery lata temu.

— A więc mogła pani rozpoznać tego mężczyznę?

— Nie, gdyż tamten lepiej się ukrywał i nie przemówił do mnie ani słowa... Jednakże ja zawsze myślałam, że to był ten sam... gdyż zapamiętałam, że tak samo był troskliwy, uważny, delikatny...

— Cóż było dalej?

— I wtedy, tak jak za pierwszym razem, przyszło najpierw zapomnienie... sen. Tym razem chorowała, zdaje się, musiałam mieć gorączkę. I oto przebudziłam się w pokoju jasnym, wesołym. Jakaś siwowłosa pani pochyliła się nademną i uśmiechała się do mnie. Była to babunia... a pokój — to ten pokój, który zajmuję na górze.

Twarcz jej rozpromieniła się zwykłym u niej pogodnym, świetlanym wyrazem i dokończyła z uśmiechem:

— I oto tak pani Ernemont znalazła mnie podobno pewnego wieczora uśpioną przed swoim progiem, tak mnie wzięła do siebie, została moją babunią i tak po pewnych doświadczeniach losu, małe dziewczętko z Aspremont pędzi teraz życie spokojne i uczy rachunków i gramatyki małe dziewczynki uparte albo leniwe, ale które ją bardzo kochają!

Mówiła to wesoło i czuło się w niej zgodną równowagę rozsądku i uczucia.

Sernin słuchał jej z wrastającym zdziwieniem i nie starając się ukrywać zmieszania, zapytał:

— I pani nigdy odtąd nie słyszała o tym człowieku?

— Nigdy!

— A czy chciałaby go pani zobaczyć?

— O, radabym bardzo! Babunia starała się go odnaleźć, ale jej się nie udało.

— A więc, pani...

Genowefa zadrżała.

— Pan coś wie!... Może pan zna całą prawdę...

— Nie... nie... ja tylko...

Wstał i przeszedł się po pokoju. Od czasu do czasu wzrok jego zatrzymywał się na Genowefie i zdawało się, że gotów jest jaśniej odpowiedzieć na stawione mu pytanie. Lecz czy przemówi?

Pani Ernemont z trwogą czekała wyjaśnienia tajemnicy, od której mógł zależeć spokój dziewczęcia.

Sernin powrócił i usiadł przy Genowefie... Zdawał się jeszcze wahać — wreszcie odezwał się do niej:

— Nie... nie... przed chwilą pewna myśl przyszła mi do głowy... pewne wspomnienie...

— Wspomnienie... a więc?